„Swaty na Rusi. (Opowiadanie byłego alumna).
Spisał Jan Lam."

(autograf, k. 8)

95

Swaty na Rusi.

(Opowiadanie byłego alumna;)

spisał Jan Lam.

~~[illegible]~~ Mimo unji ~~[illegible]~~ cerkwi wschodniej z Kościołem rzymskim, ogromną przepaść dzieli młodzież poświęcającą się stanowi duchownemu w jednym i drugim obrządku. Nie mówię tu bynajmniej o różnicach i sporach politycznych, socjalnych i językowych, któremi od trzydziestu lat uprzyjemniamy sobie nawzajem życie we wschodniej Galicji. Polityka mi obmierzła, a przytem, odgrywa ona w codziennej rzeczywistości bardzo podrzędną rolę. Człowiek jest najpierw człowiekiem, tj. istotą rozumną i posiadającą apetyt, jakoteż pragnienie, później zaś dopiero uczą go azbuki i postu, bądź według gregorjańskiego, bądź według juliańskiego kalendarza. Otóż różnica, o której mówię, daje się spostrzegać głównie z tego ogólno=ludzkiego punktu widzenia, zwłaszcza jeżeli zważymy, że do rzeczy ogólno=ludzkich zaliczają dawni i nowi uczeni także i płeć piękną, a tylko poeci w chwilach dobrego humoru nadają jej stanowisko nadziemskie, obłoczne, niezgodne z najkardynalniejszemi prawidłami fizyki. Powiem nawet, że nie ma punktu bardziej ogólno=ludzkiego, jak punkt ogólno=żeński — „das ewig Weibliche" Getego — a z tego to właśnie punktu, jakże inaczej przedstawia się młodzieniec w czarnej sutanie, w miarę jak opasany jest czerwonym pasem, lub czarnym! Czerwony pas *) z daleka już znamionuje indywiduum, które przez całe życie swoje dla niewąsatej połowy rodzaju ludzkiego będzie miało, lub mieć będzie powinno, znaczenie czysto=duchowne, moralne, fizycznie nieuchwytne — indywiduum, które do grobowej deski znać będzie jeden tylko pantofel, a mianowicie, pantofel Ojca świętego! Gdybym był panną na wydaniu, ściskałoby mi się serce na widok tej czerwonoprzepasanej falangi, sunącej rano z seminarjum na uniwersytet. Zupełnie inne uczucia budziłby we mnie kupiec o czarnych pasach. Alumnus ruski już powierzchownością swoją różni się od łacińskiego. Kroczy on gromadniej chodnikami, nogami zamaszyściej odrzuca sutanę, i bezpieczniej jest z daleka ustąpić mu z drogi, bo pochód jego podobnym jest do natarcia ciężkiej jazdy, roztrącającej i przewracającej wszystko przed sobą. Czuje on wartość swoją, jest bowiem owym gościem najpożądańszym w każdym domu, gdzie są panny: jest epuzerem par excellence. Nim się wyświęci, może, a najczęściej musi się ożenić, bo perspektywa chudej kanonji bardzo tylko wyjątkowo przysparza zwolenników celibatowi.

Szczególnie w rodzinach księży unickich, zamieszkałych na wsi, gdzie mało jest kawalerów na ożenieniu, pojawienie się „alumnów" w czasie świątecznym lub wakacyjnym, jest wypadkiem wielkiej wagi, a im bliżej alumnusowi do czwartego roku teologii, tj. do tego momentu, w którym ma wstąpić jednocześnie w stan małżeński i kapłański, tem bardziej doniosłość tego wypadku przenosi doniosłość wypowiedzenia wojny wschodniej, lub zamachu stanu we Francji. Za dawnych czasów, kiedy wymagania pod względem potrzeb i wygód życia były o wiele skromniejszemi, niż dzisiaj, kura gotowana w mleku uchodziła za nielada wybryk gastronomiczny. Na przyjęcie alumnów z czwartego roku, przyrządzano ten specjał. Dziś przyjęcie bywa więcej zbliżonem do ogólno=europejskich pojęć kulinarnych, ale zresztą nic się nie zmieniło w stosunkach, a w odleglejszych zakątkach utrzymało się jeszcze nie mało dawnych zwyczajów, za pomocą których kawaler i panna dawali sobie do poznania, czy będzie z nich para. Ponieważ atoli opowiadanie niniejsze nie jest traktatem o przedmatrymonialnych ceremoniach kleru unickiego, więc odkładam na inny czas ogólniejsze uwagi o tym przedmiocie, a przystępuję do rzeczy. Muszę zapowiedzieć z góry, że to co mam do opowiadania, mogłoby było równie łatwo wydarzyć się na Mazurach, jak i na Rusi, i że bohaterem mógłby być leśniczy, urzędnik, dzierżawca itp. tak dobrze, jak ksiądz unicki. Jedyną wschodnio-galicyjską właściwością jest tu tylko mieszanina językowa, którą zmuszony będę wprowadzić w dyalogach, i za którą z góry przepraszam ~~[illegible]~~ niegalicyjskiego czytelnika. Zdaniem mojem wszakże, wszystko co pojawia się w rzeczywistości, godnem jest zanotowania w druku, z czasem

---

*) Dla czytelników niegalicyjskich dodaję tu objaśnienie, że we Lwowie i w ~~P~~rzemyślu łacińscy słuchacze teologji odróżniają się od grecko=katolickich, czerwonym pasem. P. A.

bowiem ludzie zaczną zapewne lepiej pisać historję, niż to czynią dzisiaj, a wówczas pożądanemi im będą takie notatki, rzucające światło na stosunki, obyczaje, wyobrażenia i narzecza epok, które szybko przemijają i zmieniają się, jedna po drugiej. Toż w czasach naszych, co dziesięć lat tyle się zmienia, że ludzie czterdziestoletni mogą trzydziestoletnim opowiadać o rzeczach, których ci i śladu nie widzieli, a których tamci byli naocznymi świadkami! Na tej zasadzie, oddaję głos mojemu przyjacielowi, p. Witalowi Budzickiemu.

— Ten ks. Borodajkiewicz — powiadał mi p. Budzicki w ciągu naszej rozmowy, dał mi się w znaki dwa razy w życiu. Poznałem go podczas wakacyj, które przepędzałem na wsi, w towarzystwie kilku kolegów. Pewnego wieczora pojawił się niespodzianie na kolację i na nocleg. Miał siedm stóp wzrostu, odpowiednią szerokość w barkach, a w kieszeni fajkę niemniej zastosowaną do wzrostu. Po kolacji zakwaterowano go w naszym kawalerskim pokoju, gdzie właśnie nie bez smętnych rozmyślań przypatrywaliśmy się ostatniej paczce Szwarcdrajkenig'u,+) już nadpoczętej; bo to i do miasta daleko, i słota na dworze, i finanse studenckie nie znoszą częstego odnawiania zapasów, i nakoniec, jak tu wytrzymać na wsi bez tytoniu?

— Macie tytoń, chłopcy? zagadnął dobrodziej, i, nie czekając odpowiedzi, sięgnął po paczkę, wydobył swoją półgarncówkę z zanadrza, i począł ją ładować ~~bez~~ miłosierdzia. Boleść odjęła nam mowę.....

Ksiądz oddarł kawałek papieru od paczki, zapalił lulkę, ~~napakował~~ pa = paknął mocno kilka razy, i rozsiadłszy się wygodnie na łóżku, a nie odejmując przytem ręki od naszego szwarcdrajkenigu, począł nas bawić rozmową. Uszanowanie dla dostojeństwa kapłańskiego i starszego wieku nie pozwalało nam rzucić się do stołu i odebrać naszą własność, ale na widok, jak ona szła z dymem, smętnieliśmy coraz bardziej i nie zwracaliśmy oczywiście na słowa księdza proboszcza takiej uwagi, na jaką one zasługiwały. O ile przypomnieć sobie mogę ze względu na ówczesny stan mojego umysłu, z opowiadania ks. Borodajkiewicza wynikało, że jest wdowcem, że ma nieztą parafję, i nie wymagającą snać wielkiej mozoły, albowiem proboszcz bywa często bardzo u Kapucynów w Przedborzu i pomaga im spełniać rozmaite funkcje kościelne. I tak, między innemi, miał niedawno kazanie w ich kościele, ale ponieważ wdział przy tej sposobności komżę łacińską, a konsystorz unicki dowiedział się o tem, więc skazano księdza na rekolekcje, albo na zapłacenie 50 złt grzywny.

— Totéż jadę właśnie do nich, niech płacą; ja przecież nie będę za nich siedział, ani płacił!

O ile sentencja ta była słuszną i trudną do odparcia, o tyle mniej podobało nam się to, że dobrodziej wygłosiwszy swój argument z emfazą, i dodawszy mu naciska wypukaniem armstronga, z którego palił nasz tytoń, ~~[illegible]~~ zabrał się na nowo do nakładania fajki! Robiło nam się na przemian zimno i gorąco, ale nie było rady — reszta naszego drajkenigu znikła w tej glinianej przepaści, a gość nasz wyjąwszy ją do szczętu, położył się spać i wkrótce chrapał jak fagot kowelskiej „Harmonji."

Z goryczą w sercu zebraliśmy proch, który został w papierze, i nasypaliśmy go do naszej stambułki, która obok księżej wyglądała tak, jak ruski wikary obok łacińskiego arcybiskupa. Zapaliliśmy ją i podając ją sobie w kółko, more academico, dla pociąg-

---

+) Schwarz = Drei = König, tytoń sprzedawany przez administrację austrjacką w paczkach mających około 1½ łuta wagi. P. A.

nięcia choćby jednego szluka, +) dumaliśmy, jako prawdziwi Rusini, nad naszą biedą, nie myśląc o tem, jakby jej zaradzić. Nie pamiętam już który z nas, ale pewno taki, co musiał mieć w sobie przymieszkę krwi obcej, spostrzegł dwa sznurki zielone, wiszące aż na ziemię z kapoty Ks. Borodajkiewicza, złożonej na krześle. Sznurki takie, dla rozeznawcy, zwiastują niemylnie obecność kapciucha, z tytoniem, lub bez tytoniu. Kolega mój podsunął się na palcach, i — o radości! z głębi kapoty parochialnej wytoczył się kapciuch kolosalnych, odpowiednich fajce rozmiarów, zrobiony z pęcherza, który musiał być dawniej własnością mamuta, albo innego olbrzyma przedpotopowego. Kapciuch ten napchany był drajkenigiem, ale nie takim, jak nasz, drajkenigiem extra-fein, erste Sorte, żółciutkim jak wosk, cieniutkim jak włos, a wonnym jak myrra niebiańska!

Na prędce, i po cichu, odbyliśmy radę wojenną, na której stanęło: 1mo że antecedencje, których byliśmy świadkami, jakoteż dużo opowiadań, któreśmy słyszeli, nie pozwalają ani na chwilę przypuszczać, ażeby Ks. Borodajkiewicz kupił sobie tak wyborny tytoń, ale że skarb przez nas znaleziony pochodzić musi albo od OO. Kapucynów w Przeworsku, albo od X. dziekana w Łachowicach, gdzie zapasy są niewyczerpane, a więc, że: 2do uspełnić godziną jest rzeczą, byśmy stratę naszą powetowali na treści kapciucha. W wykonaniu tej uchwały, wysypaliśmy tytoń w dużą torbę z papieru, a próżny pęcherz nadęliśmy, i zawiązawszy go mocno sznurkiem, aby powietrze nie wyszło, włożyliśmy go napowrót w kieszeń kapoty.

Nr 48

Nie musiał atoli Ks. Borodajkiewicz być mściwego usposobienia, albo też nie prędko, jeżdżąc po gościnie, zaglądnął do własnego tytoniu, a tym sposobem nie mógł wiedzieć, gdzie i kiedy wyrządzono mu psotę — albowiem nietylko nie miał żalu do mnie, lecz nawet zaszczycał mię później nadzwyczajnem swojem zaufaniem. Zaraz następnej zimy, kiedyśmy właśnie kuli w muzeum ++) — a byłem już wówczas teologiem czwartego roku — zapukało coś do drzwi i wsunęła się kolosalna postać, pamiętna mi z owego sutnego wieczoru na wakacyach.

— Jest tu Budzicki? zapytał Ks. Borodajkiewicz.

— Jestem!

Ksiądz zrobił ~~[illegible]~~ wskazującym palcem prawej ręki gest przyzywający, i wyprowadził mię na kurytarz.

— Żurawiński, jest? — Żurawiński był to jeden z moich kolegów, między którym a Ks. Borodajkiewiczem, o ile wiedziałem, nie zachodziły żadne stosunki znajomości, sąsiedztwa, ani przyjaźni. Miał on starszego brata, który niedawno wyświęcił się był na księdza. Wszystko to razem nie przedstawiało najmniejszego powodu, dla któregobym był miał zanegować istnienie Żurawińskiego, przyznałem tedy bez ogródki, że jest, i że w tej chwili znajduje się w muzeum.

— No, to dobrze; odparł ksiądz — przyjdźcie dziś do mnie obydwaj popołudniu o 4tej godzinie, do hotelu pod Czerwonym Jeleniem. Jest tam i moja córka. Ale przyjdź i przyprowadź z sobą koniecznie Żurawińskiego. Pamiętaj, koniecznie!

Kto zna potulną ruską naturę, ten nie będzie się dziwił, że nie omieszkałem wykonać polecenia, powtarzanego z taką usilnością przez osobę poważania godną, jakkolwiek mającą słabość do cudzego tytoniu. Żurawiński dał się namówić bez trudności, i odbywszy jeszcze poprzednio, po wielkiem błocie, asystę przy jakimś pogrzebie, pojawiliśmy się o 4tej popołudniu w hotelu pod „Czerwonym Jeleniem," którego nazwa sama już wskazuje, że nie

---

+ Szluk — zaciągnięcie się dymem z tytoniu. P. A.

++) Muzeum, pokój w seminaryach, w którym alumni oddają się nauce św. bogosłowia, czyli „kują." P. A.

należał do pierwszorzędnych. Wskazano nam pokój na końcu korytarza, do którego wszedłszy, skonstatowaliśmy najpierw, że jest bardzo ciemny, po bliższem rozpatrzeniu się zaś nabyliśmy przekonania, że oprócz stołu, kanapy (nieco) i łóżka, nie zawiera nic, i nikogo. Nakoniec, w odległym kącie, odkryliśmy okno w głębi grubego muru, umieszczone tak wysoko, że gwoli łatwiejszego przystępu w zagłębieniu znajdował się wysoki gradus. Na tem oknie siedziała panna, której kształty i policzki świadczyły o dobroczynnym wpływie wiejskiego powietrza na jej zdrowie. Siedziała, jak mówię, ale ponieważ pomimo gradusa okno było jeszcze zawsze bardzo wysokie, i nie dostawała nogami do ziemi, więc bambatamkała +) niemi w powietrzu z ujmującą naiwnością.

— Aha! to panowie! — odezwała się do nas, z równem (powyższemu) ruchowi sans façon.

Przyzwyczajony do form mniej prostodusznych i patryarchalnych, uważałem za potrzebne oświadczyć, że jestem Budzicki, a to, mój kolega Żurawiński.

— To nic! odparła nimfa, bambatamkając dalej nogami.

Spojrzeliśmy po sobie, nie wiedząc, czy martwić się, czy radować z powodu, że: „to nic!" — a jeszcze bardziej nie wiedząc, co począć dalej, i pocośmy tu właściwie przyszli. Z kłopotu tego wybawiła nas urocza bogini, przebywająca na wysokościach okna:

— Proszę panów siadać; tatko zaraz (wyjdzie). Ale … chachacha! tam musi być wielkie błoto w mieście, bo strach, jak się panowie zatatapali!

Posiadaliśmy i przyznaliśmy, że jest wielkie błoto. Nie mogliśmy także zaprzeczyć oczywistemu faktowi, żeśmy się strasznie „zatatapali!" Po tej wymianie zdań brakło nam wszakże dalszego wątku, i była wielka cisza dokoła, wśród której „tatko" ciągle jeszcze nie nadchodził i sytuacja stawała się coraz trudniejszą do wyjaśnienia. Dwóch alumnów w długich rewerendach i zabłoconych butach, siedzących na łóżku z niezmiernie zażenowanemi minami, i panna, nakształt pyzatej bardzo kukiełki, umieszczona wysoko, wysoko, na oknie — a wreszcie, głuche milczenie: oto rebus, nie łatwy do rozwiązania. Snać atoli księżówna widziała w swojem życiu więcej zaambarasowanych alumnów, niż my panien tak wysoko siedzących, przyszła nam bowiem znowu w sukurs:

— To to jest p. Żurawiński! rzekła, wstrzymując jedną nogę, a drugą bambatamkając wprost ku memu koledze. — A, ja znam pańskiego brata.

Nim Żurawiński, zaczerwieniony po same uszy, zdał sobie w duchu sprawę z możliwej doniosłości tego faktu, że p. Borodajkiewiczówna zna jego brata, i nim na tej zasadzie zdobył się na jakąś odpowiedź, otworzyły się w końcu drzwi i pojawił się ksiądz proboszcz.

— No, dobrze, żeście! Kelner, daj-no wina!

Kelner, jak gdyby czekał z winem za drzwiami, przyniósł najpierw butelkę, potem wyszedł i wrócił po chwili, niosąc nadtłuczony kieliszek, potem znowu wyszedł i wrócił, niosąc nadtłuczoną lampkę, a ponieważ w pokoju znalazła się — wyszczerbiona także, szklanka od wody, więc serwis był skompletowany (any) i garson wyszedł, nie wracał więcej. Butelka nie była pełna, ale ksiądz proboszcz nalewał tak ostrożnie, że wystarczyło dla wszystkich. Zjawisko to nie rzadkie na Rusi, wszak fundusz wdów i sierot po księżach, dający na to, czy chce, czy nie chce, musi wystarczyć, tylko że oczywiście, ze względu na cyfrę dzielnika, iloraz jest bardzo znikomy. Tak było i z winem przy tej okazji, i mogę, pomijając uwa-

+) Bambatamkać — wykonywać przyśpieszony ruch wahadłowy, jak np. serce mniejszego dzwonu, które wydaje odgłos: „bam-ba-tam!" Wyraz ten poleca się uwadze zbieraczy prowincjonalizmów, ponieważ nie mamy odpowiedniego mu, a przynajmniej, równie dokładnie rzecz oddającego wyrazu książkowego. P. A.

się jakości, zapewnić, że przynajmniej ilość była nieszkodliwą. Siliśmy tedy i słuchali opowiadań Ks. proboszcza, kulminujących w tem, że potrzeba umieć sobie postępować z parafianami, ażeby parafia mimo szczupłej kongruy, niosła dochód przyzwoity; że właśnie Ks. Borodajkiewicz u siebie w Lipniczanach zastosował ten system z dobrym skutkiem; iże, nakoniec, robi to wszystko nie dla siebie, ale dla swego ewentualnego zięcia, któremu ma zamiar odstąpić parafię, sam zaś osiądzie na dewocji w Przedborzu. Dowiedzieliśmy się nakoniec, że ku takiemu przeniesieniu prebendy na zięcia, bardzo mu pomocną będzie dobra znajomość, w jakiej zostaje z najprzewielebniejszym Ks. pasterzem dyecezji, jakoteż z dziekanem kapituły, i z kolatorem, od którego zależy prezenta.

Już sam fakt częstowania winem obudził był we mnie podejrzenie, że zanosi się na coś niedobrego. Niepokój mój wzrastał w miarę, jak Ks. Borodajkiewicz rozwijał swoją swadę. W tem mówca powstał, zbliżył się do mnie, i wykiwał mię palcem z pokoju na kurytarz.

— No, moja córka; a co? zagadnął mię znienacka. Namyślałem się, czy powiedzieć komplement, i jaki, ale Ksiądz, nie czekając odpowiedzi, prawił dalej:
— Ten Żurawiński, wiesz? — jego brat starał się o moją córkę. Otóż powiadam: kiedy jeden zaczął, i to starszy, to niech młodszy skończy. Ja, widzisz, sam dla siebie nic nie potrzebuję; dam mu bryczkę i konie, a znam się dobrze z biskupem, z dziekanem i z kolatorem, to oni mu dadzą Lipniczany; ja sobie osiądę u tych mnichów w Przedborzu, oni mię lubią, bo wiesz, tak wysoko jak ja ~~[illegible]~~ wezmę: Wiecznaja Pamiat', to nikt nie potrafi, chyba jeden djak w Kutyskach, ale musi wprzód wypić kwartę wódki. Powiedz-że Żurawińskiemu, niech się bierze do rzeczy. Tu w zapusty będzie bal ruski, i ja przyjadę z córką; pamiętaj-że, abyście byli obaj z Żurawińskim, to dobijemy targu!

Wróciliśmy do pokoju, pożegnaliśmy się z gospodarzem i z panną, i wróciliśmy do seminarium, a ja jeszcze nie przyszedłem do siebie z osłupienia, w jakie mię wprawiło to niespodziane narzucenie mi tak delikatnej misji dyplomatycznej. Nie było wszakże rady, prosta uczciwość nakazywała mi wyspowiadać się przed Żurawińskim, jaki był właściwie cel naszej wizyty pod Czerwonym Jeleniem. Nie wiem dla czego — ale rozgniewał się na mnie okropnie i zwymyślał mię w sposób niepoczciwy, a co więcej, wszyscy koledzy stanęli po jego stronie, i cierpiałem dłużej i więcej niż wówczas, kiedy nam Ks. Borodajkiewicz wypalił tytoń. Bóg świadkiem, że cierpiałem niesłusznie. Juści to z jednej strony prawda, że alumnus na czwartym roku teologii ma w czem wybierać, i że podobne narzucanie mu towaru ubliża jego godności. Ależ z drugiej strony, nietylko księdzu, lecz i każdemu innemu śmiertelnikowi pilno się jakoś dzieje, gdy dorosła córka przez dłuższy czas nie może doczekać się męża. Nic dziwnego, że chwyta się w takich razach zbyt obcesowych sposobów. Zresztą ja byłem zupełnie niewinnym w tej sprawie, albowiem Bóg świadkiem, że nie domyślałem się, jak~~im~~ był cel zaprosin pod Czerwonego Jelenia. Bądź co bądź, nasłuchałem się tyla wymówek, że nie ~~było~~ mi było nawet wspomnieć o Ks. Borodajkiewiczu, a jeszcze mniej, spotkać się z nim osobiście. Nie minęło mię to atoli.

Zaledwie zaczęły się zapusty, pewnego razu, idąc przez miasto, uczułem potrącenie łokciem. Obejrzałem się i ujrzałem spiętrzoną nadzwyczaj okazałą postać Ks. parocha z Lipniczan.
— A co, Żurawiński? były pierwsze jego słowa.
— Ta .... nic! odparłem
— Ale czy będzie na balu?
— Nie wiem .... jakoś zdaje mi się, nie ma ochoty.
— Słuchaj-no, może jemu potrzeba butów? Ja mu dam pieniędzy!
— Ej, nie, on ma buty, odparłem, nie umiejąc sobie jeszcze wówczas zdać sprawy

z patryarchalnej prostoty, jaką tchnęła ta propozycja. Faktem jest, że nie uśmiechnąłem się nawet, bo też wówczas wcale mi nie było do śmiechu. Dziatem na myśl, że Ksiądz gotów mi wetknąć piątkę, ażebym ją zaniósł Żurawińskiemu na buty, i malowałem sobie w czarnych kolorach burzę, jaką by to wywoła w całem seminaryum. Młodsza, dorastająca generacya w wyobrażeniach swoich odbiegła już była wówczas znacznie od starszych, i nie umiała pogodzić się z ich sposobami myślenia i działania w podobnych kwestjach. Muszę tu zwłaszcza dodać, że należałem do kółka „arystokratycznego" między alumnami, równie jak Żurawiński, tj. do młodzieży pochodzącej z rodzin zamożniejszych, lub co na jedno wyjdzie, więcej wykształconych. Mieliśmy przytem innych Kolegów, którym prezent pary butów ze strony przyszłego teścia wydałby się być rzeczą nietylko naturalną, ale owszem, bardzo pożądaną.

Na szczęście moje, Ksiądz nie obstawał przy swojej ofierze, ale odszedł powtarzając tylko:

— Pamiętajże, abyście byli na balu, i aby był Żurawiński!

Nadszedł nakoniec i wieczór balowy. Kończyłem studja, i potrzeba mi było samemu rozpatrzyć się między pannami, bo nie spodziewałem się zostać biskupem, a samotnik nie da sobie rady na parafii, zwłaszcza w jakim odległym zakątku, gdzie świat deskami zabity. Wdziałem tedy strój cywilny, tj. frak i białą krawatkę i poszedłem tańczyć, w nadziei, że wytańczę sobie potowicę. Żurawiński oczywiście nie dał się namówić, ale natomiast towarzyszył mi inny Kolega, niejaki Kruchot.

Zaledwie przetańczyliśmy „perszu trasanycin" (pierwszą polkę tremblante) — stałem właśnie niedaleko bufetu — gdy ujrzałem znajomę mi już trzcinę Tokiem.

— A co, jest Żurawiński? zapytał mię Ks. Borodajkiewicz.

— Nie, Żurawiński nie chciał przyjść — odparłem zaambarasowany, i ażeby czemkolwiek zabarwić fiasco mojej misji, dodałem bezmyślnie: — ale jest... Kruchot...

— Kruchot? A czy nie z tych Kruchotów, co to są w Złoczowskiem?

— Z tych, podobnoś....

— Toż to daleka moja familia! Przyprowadźże go tutaj!

Przyprowadziłem Kruchota, oderwawszy go z brudnicią od pewnej panny, dla której stroił koperczaki.

— To pan Kruchot! zawołał Ksiądz, i wyrecytował mu na palcach całe drzewo genealogiczne, z którego wynikało, że rodziny Kruchotów i Borodajkiewiczów złączone są od wieków węzłami powinowactwa, nie tak bliskiemi atoli, by to przeszkadzało zawiązaniu nowych.

— No, napijecie się wina? była konkluzja. Trudno było odmówić. Wino było lepsze, niż pod Czerwonym Jeleniem. Bogu dzięki, nie było go dużo — Bogu dzięki powiadam, bo i mnie i Kruchotowi spieszno było do panien. Nimeśmy się atoli uwolnili, Ksiądz wziął jednego i drugiego z nas za plecy, i obracając nas jednym ruchem potężnych swoich ramion ku sali, rzekł:

— Widzicie, to jest moja córka: ot, tam, siedzi pod oleandrem! (Sala przystrojona była oleandrami.) Pamiętajcie, abyście z nią tańczyli!

Kuda tam tańczyli! Kruchot upatrzył sobie już był swoją tancerkę,

kę na cały wieczór, a i ja muszę się przyznać do czegoś podobnego. Mam wprawdzie miękkie serce, i żal mi się robiło biednej panny, która ciągle siedziała pod oleandrem (i dosięgała ziemi nogami tym razem) a jako nie zbyt urodziwa, przedewszystkiem zaś niezbyt młoda, ciągle sprzedawała pietruszkę. Ale właśnie ta sama miękkość serca ciągnęła mię w wyższym stopniu w inną stronę, zaś niegodziwy Kruchot w zatwardziałości swojej aż spojrzał na pannę Borodajkiewiczównę. Ksiądz spostrzegł to oczywiście, i przychwyciwszy mię znowu koło bufetu, zapytał:

— A cóż ten Kruchot? Pił wino, i nie tańczy!

Jak tu się wykręcić od tak kategorycznej interpelacji? Jakkolwiek kandydat na chrześcijańskiego księdza, gotów byłem wezwać na pomoc wszystkie bożki pogańskie, ażeby mi pomogły wybrnąć z kłopotu. W tem, jeden z tych bożków, mianowicie Mars, zesłał w pobliże moje pół tuzina najwaleczniejszych swoich synów, w postaci oficerów c. k. armii. Spostrzegłem między nimi jednego porucznika, którego znałem przypadkiem i natchniony genjalną myślą, udałem, iż nie słyszę wymówki księdza proboszcza, i zwracając się ku oficerowi, odezwałem się:

— Guten Abend; verzeihen Sie, Herr Oberlieutenant! ~~Herr~~ Herr Oberlieutenant Wacławiczek — dodałem, robiąc ręką gest ceremonjalny — geistlicher Herr Borodajkiewicz, g. k. Pfarrer aus Łopuszczany, hat eine sehr schöne Tochter....

— Ja, meine Tochter, zawołał ksiądz, jak w ekstazie. Sehen Sie? Dort sitzt, unter Oleander!

Szmer admiracji rozszedł się w gronie ~~[illegible]~~ wojowników. Potrzeba zaś wiedzieć, że bal ruski jest przeważnie balem epuzerów, każdy tańczy z panną z góry upatrzoną i zmówioną, każda zaś panna, uważając tę zabawę z jej realnej i praktycznej strony, tańczy tylko z człowiekiem, który jest na ożenieniu. Oficerowie należą rzadko do tej kategorji; niedużą się tedy nie, pospolicie, nie mając z kim tańczyć. Ztąd wszyscy towarzysze broni p. Wacławiczka, radzi z okazji, pospieszyli zabrać znajomość z ks. Borodajkiewiczem, który natychmiast kazał podać wina, tym razem, parę butelek, jakoteż cygarów. Wojskowość ma więcej poczucia obowiązku od nas cywilistów — wszyscy więc z kolei dali przedstawić się pannie, i wszyscy tańczyli z nią do białego dnia tak zawzięcie, że do mnie i do Kruchota nie było już żadnej pretensji, panienka zaś nazajutrz, jeżeli siedziała na oknie pod Czerwonym Jeleniem, z pewnością nie czuła potrzeby bambatamkania nogami, bo sądzę, że sprawiła im dość komocji na balu.

Minęły zapusty, minęła zima, wiosna, lato i jesień, minęło półtora roku. Z początku, z mimowolną trwogą, przypominałem sobie od czasu do czasu ks. Borodajkiewicza, ale nie widywałem go nigdy, a później ożeniłem się, przybyły mi nowe i gorsze kłopoty, i zapomniałem o tamtych zupełnie.

Aż znowu, pewnego razu, idąc ulicą, poczułem trzcinę tokiem, które

mi przypomniało studenckie czasy, tak jak czasem dawno niesłyszana nuta, albo woń pewna, albo widok pewnej okolicy, pewnych chmur i blasków na niebie, budzi w naszej duszy obrazy dalekiej przeszłości.

— Wiesz? wydałem córkę za mąż! przemówił do mnie Ks. Borodajkiewicz.

— A... za kogo? spytałem machinalnie, z miną nieco zdziwioną z powodu tak horacyuszowskiego, _in mediis rebus_, zawiązania rozmowy.

— Za prowizora w Dziwaczowie! odparł, wpatrując się we mnie, jaki też efekt sprawi ta wiadomość na mojej fizjonomii. Po chwili, twarz jego przybrała jakiś wyraz filuternie tryumfujący, przytknął tajemniczo dłoń do ust, i huknął mi w ucho:

— _Musiał_ ją wziąć!

Dlaczego musiał? Ja nie wiem, nie śmiałem bowiem wypytywać o szczegóły. Tylko sądzę, że Żurawiński i Kruchot dziękują niebiosom, że nie _musieli_, sam zaś zachodzę, jak to mówią, w głowę, dla czego Ks. Borodajkiewicz upatrzył we mnie narzędzie, nie zaś cel, swoich niewinnych machinacyi. Zastanowiwszy się nad tem bliżej, jakoteż zwiąszy na uwagę moje potulne, jak powyżej wykazano, ruskie usposobienie, także dziękuję Bogu, że — nie musiałem.

Koniec.